

AKTOR — marzenia, myśli, rozterki

ZOFIA KUCÓWNA



fot. Z. Nasterowska

Strzeż się więc: tarczą najlepszą w tej próbie niedowierzanie, nawet samej sobie

Chciałabym zaprosić Panią na rozmowę bez prawdziwych dekoracji i zwykłego prologu. Dekoracje byłyby zmyślone, ale wystarczająco zaciszne. Prologiem stałyby się Pani dotychczasowe refleksje o teatrze i aktorstwie. Mogłybyśmy pozwolić sobie na milcze-

nie, kiedy coś powstrzyma Panią od odpowiedzi i na mówienie, kiedy nie oprze się Pani sformułowaniu własnych odczuć. Mogłybyśmy też pozwolić sobie na antrakty, żeby nie wystygła Pani herbata a moja kawa i żeby zdania nabrały trwalszego kształtu w notatniku. Jeśli to Pani nie zraża, lecz zachęca do rozmowy, proszę mi pozwolić na pierwsze pytanie: co myśli Pani o swojej pracy, jak ocenia Pani swoją egzystencję aktorki?

Mówiłam już kiedyś, że staram się i teatru i pracę traktować zwyczajnie. Wiem jednak, że praca aktora nie może być i nie jest zwyczajna. Ten zawód angażuje od świtu do nocy. Odbiera spokój i poczucie bezpieczeństwa. Pozbawia naturalnego samokrytycyzmu, deformuje normalne spojrzenie z dystansu. W ogóle deformuje psychikę zmuszając do codziennego obnażania własnych uczuć na scenie. A w końcu nieuchronnie przynosi niepokój i pogardę. Pogardę nie dla teatru, ale dla samego siebie. Obrzydzenie. Do tego babrania się w swoich i cudzych sprawach. Do tego obmacywania przeżyć. Odczuciem tym dotknięci są aktorzy predestynowani i aktorzy z przypadku. Ani jednym, ani drugim teatr nie daje spokoju i pewności, a jednocześnie nie pozwala łatwo odejść, zrezygnować. Nawet ci, którym się nie powiodło, czekają. Nie mogą się pogodzić z myślą, że brak im zdolności. Teatr magnetyzuje wszystkich olbrzymią satysfakcją nawet z powodu małego powodzenia i bezkrytyczną nadzieją. Co oczywiście spowodowane jest też

Teatr. 19/9/1r.

brakem obiektywnych kryteriów, niemożnością samokontroli. Malarze oceniają swoje obrazy z perspektywy innych obrazów. My pracujemy na sobie samych. Nie możemy więc nigdy spojrzeć na własne dzieło z dystansu. Przystajemy grać i sztuka nasza niknie. Następna nasza rola jest już czymś innym, następny gest jest nowy i tak samo nietrwały. Trwale jest tylko zafascynowanie teatrem, związana z nim nadzieja i niepokój. Ja staram się choć trochę uniezależnić od wyczerpującej nerwowości teatru. Nie zamykam się w jego sprawach. W ciężkich chwilach raczej zamykam się w domu. Bo tu właśnie czuję się naprawdę pewna i bezpieczna. Ale dręczy mnie moja natura. Nie umiem przyjmować rzeczy inaczej jak tylko na wysokim diapazone radości i rozpaczę ponad miarę. Nie stać mnie na poczucie humoru. Nie stać mnie na niefrasobliwość.

Mówiła Pani o satysfakcji i kryteriach. Czy istnieje dla tych pojęć jakiś punkt styczny? Mała przestrzeń i odrobina czasu, kiedy aktor jest szczęśliwy, widz wzruszony, a krytyk pisze dobrą recenzję?

Na krytykach trudno polegać, bo krytyka jest na ogół niefachowa. Ciągłe obraca się w kręgu „podoba się”, „nie podoba się”, bez subtelniejszej analizy. Aktorzy znacznie więcej wiedzą o sobie nawzajem niż wiedzą o nich krytycy. Widz wychowany w pewnych konwencjach nie zawsze rozumie ich prawdziwą intencję, nie zawsze ją odczytuje. Ale koleżanki i koledzy z zespołu doskonale osądzają naszą grę, bo masze środowisko jest bardziej szczere niż jakiegokolwiek inne.

Jest to jednak szczerść bez kryteriów?

To zupełnie co innego. Może nie zdobywamy się na obiektywizm wobec samych siebie,

ale znamy naszą pracę. Na co dzień potrafiemy ocenić kogoś, kto z nami gra. A poza tym w teatrze istnieje przecież ktoś predestynowany do roli nadrzędnej. Patrzący obiektywnie na pracę całego zespołu, odpowiedzialny za zespół — myślę oczywiście o reżyserze. W moim pojęciu to on właśnie jest tym najbardziej obiektywnym człowiekiem w teatrze. Bo to on musi wykoncytować przedstawienie, obsadzić role i kształtować zespół aktorów. Taką konieczność narzuca współczesny teatr. Teatr, w którym nie ma miejsca dla gwiazdorów, do którego nie przychodzi się, żeby podziwiać techniczną sprawność jednego artysty.

A wielkie indywidualności aktorskie?

Niestety, wielkie indywidualności bywają czasem gwiazdorami. Oczywiście robi się niektóre przedstawienia dla nich właśnie. Ale stwierdziłam, że takie przedstawienia na ogół nie odgrywają większej roli w życiu teatralnym. Gwiazdorstwo jest sprzeczne z tendencjami dzisiejszego teatru i z wyobrażeniem roli współczesnego aktora. Podporządkowuje spektakl aktorowi, a aktora idei podobańca się za wszelką cenę.

Czy nie sądzi Pani, że w dzisiejszej konstelacji teatralnej zamiast gwiazdora-aktora pojawia się coraz częściej gwiazdor-reżyser? Czy nie uważa Pani, że gwiazdor-reżyser może podporządkować sobie zespół, narażając teatr na konflikty, ograniczenia, niekiedy może zle, a obowiązujące koncepcje.

Koncepcja musi być jedna, nadrzędna. Ale nadrzędność koncepcji nie oznacza koniecznie gotowego tworu i podporządkowania. Podpo-

rządkowanie w ogóle nie powinno zaistnieć, jeżeli wszyscy kierują się dobrą wolą i zrozumieniem. Oczywiście ludzkie charaktery, namiętności często biorą górę. Silne osobowości wyczuwają swoją przewagę i dominują. Wydaje mi się jednak, że tylko niezdolny aktor i nieutalentowany reżyser nie mogą odnaleźć właściwej proporcji we wspólnej pracy. Dobry reżyser potrafi stawiać aktorowi wymagania, żądając od niego dyskusji. Dobry aktor umie dostosować się do pracy z różnymi reżyserami, o różnych wymaganiach; grać w zespole Swinarskiego, Hanuszkiewicza, Szajny, Jarockiego.

Ja sama uważam się za człowieka współtworzącego przedstawienie i podporządkowanego, chociaż to słowo wydaje mi się zbyt potoczne. Moją osobowość aktorską formuje reżyser, ale nie wykluczam możliwości ingerowania w jego wyobraźnię. My często odnosimy się pogardliwie do reżysera. Nie dopuszczamy myśli, że nasze rozwiązanie może być niesłuszne. Nie przyjmujemy nawet najtrafniejszych uwag. I brniemy w manierze. Mnie się to też zdarza, gdy spotykam w pracy reżysera zbyt uległego. Ale na szczęście nie dzieje się tak ani zawsze, ani wszędzie. Konflikt między reżyserem i aktorem nie wynika nieuchronnie z istoty pracy nad spektaklem. Nieuchronny jest natomiast konflikt różnych pokoleń połączonych wspólną pracą w zespole, a rozdzielonych różnymi upodobaniami, przyzwyczajeniami, pragnieniami. Antagonizm młodych — niedoświadczonych, nie przygotowanych do zawodu, ale pełnych śmiałych pomysłów, skłonnych do tworzenia czy przyjmowania nowych form — i spragnionych stabilizacji czterdziestolatków. Niestety, nasze środowisko starzeje się, jak każ-

(dalszy ciąg na str. 8)

ZOFIA KUCÓWNA

(dalszy ciąg ze str. 7)

de inne, ale symptomy starości podświetlone reflektorami stają się bardziej widoczne.

Czy tylko starość form ma Pani na myśli?

Także starość form, ale nie tylko. Razi mnie w teatrze dążenie do stabilizacji i to w dodatku według wzorów sprzed kilkudziesięciu lat. Predylekcja do gry pseudopsychologicznej, bulwarowych komedii, godzinnego wysiadywania kanapki, palenia papieroska i szemrania w stylową kamizelkę. Razi mnie konserwatyzm i zasiedziałość. Ale nie to tylko miałam na myśli mówiąc o starości. Myślałam też o starości innej, tej biologicznej. Żaden zawód tak dotkliwie nie uświadamia, nie pokazuje przemijania. Żaden zawód, nie zmusza do tak bolesnych rezygnacji. Szczególnie kobiety aktorki.

Taki dramat przeżywa każda z nas, niekonieczne aktorka.

Oczywiście, ale aktorka musi afiszować się ze swoją starością, wystawiać ją na widok publiczny ze świadomą rezygnacją. Mówiąc niepoważnie, musimy przejść „drogę krzyżową” najpierw jako liryczne panienki, potem jako mniej lub więcej cierpiące matki, śmieszne ciotki i sąsiadki, a wreszcie ciepłe babcie. Ja na razie nie mam żadnych kompleksów ani z powodu wieku, ani z powodu urody. Jestem na etapie młodszych matek. Trud-

no, mówię sobie, mam tyle lat i taką właśnie twarz. Do filmu nie angażowali mnie nawet piętnaście lat temu. Wiem, że się starzeję i tak właśnie musi być.

Podaję, że lęk aktorek przed starością to wina tradycji. Przez lata całe wyobrażenie aktorki utożsamiano z wyobrażeniem gwiazdy wечно młodej i wечно uwielbianej za seks. Możemy się śmiać z biłecików mokrych od łez czy rzuconych na scenę kolii, ale młodość, seks i chęć podobaania się ciągle jeszcze są poważnym atutem aktorki. Coś więc jednak z gwiazdorstwa pozostało. Ile aktorek dorosło do roli Gelsominy w brudnych łachach i wykrzywionej uszance? Ile aktorek przyjmuje ze spokojną rezygnacją rolę śmiesznej ciotki czy ciepłej babci, kiedy marzy się im rola Ofelii?

Sądzi Pani, że nie marzyłam o roli Ofelii? Młodziutkiej, świeżej, wzruszającej i lirycznej... Zdawałam sobie jednak sprawę, że powinienam zagrać królową Gertrudę i taką właśnie obsadę zaakceptowałam. Muszę Pani powiedzieć, że na początkujące aktorki patrzę z dużym wzruszeniem. Jestem od nich bogatsza o własne i cudze doświadczenia wszystkich goryczy, niepowodzeń, rozwiązanych nadziei. Wiem, że one nie przeżyły jeszcze ludzkiej zawiści, nieudanej przyjaźni, że nikt ich nie obraził w prasie, nie pozbawił wewnętrznej pewności. Lubię je i żał mi ich. Mam dla nich coś w rodzaju czułości. Już w tej chwili można powiedzieć, które będą aktorkami, a które pomylily się w wyborze zawodu. Nie ma oczywiście absolutnej pewności, brak ostatecznych kryteriów, nadzieja

podszeptuje każdej, że może jednak... Ale w praktyce teatralnej zdolności aktorek ujawniają się albo od razu, albo nigdy. A ról kobiecych, ról tytułowych jest niewiele. W dramaturgii klasycznej chyba kilkanaście. Antygona, Julia, dwie role u Racine'a, Ibsen, Strindberg... Cały Szekspir to dramaty mężczyzn...

Tak jak w życiu: rolę kobiety wpisuje się do scenariusza dla mężczyzn...

Ale gdzie wobec tego znaleźć ciekawe, tytułowe role dla tyłu czekających aktorek? Jak uchronić je od żgorzknienia, starzenia się na granicy jakichś epizodów, podrzędnych zadań aktorskich, nieefektywnych i nie dających szans ról? A przy tym zakulisowych zawiści, hysterii... Ja w każdym razie staram się myśleć o teatrze tak, jakby nie miał kulis, a o scenie tak, jakby nie miała rampy. Gram dla publiczności. Moje osobiste rozterki i skryte marzenia nie mogą być najważniejsze. Nie muszę podobać się sobie i nie muszę podobać się wszystkim: Gram samą siebie w założonych okolicznościach. Czy lubię siebie w założonych okolicznościach? Siebie nie bardzo. A założone okoliczności decydują, czy mniej, czy więcej: Staram się odsunąć od swoich osobistych niechęci, spełnionych czy nie spełnionych marzeń. Nie zawsze jednak prawdę mówiąc, to się udaje. Całe życie teatru, w którym jestem, mierzę miarą własnego życia, własnych satysfakcji i upadków. A to jest miara niepełna, subiektywna, połączona z niepokojem, niepewnością...

• Ale ta niepewność, niepokój, szczerłość, o-
kórki mówiła Pani, jest udziałem całego ze-
spółu teatru. Czy to ludzi podobnej egzy-
stencji nie łączy, nie utwierdza ich przy-
jaźni?

To zależy od teatru. Nasz zespół Teatru Na-
rodowego jest bardzo duży. Liczy ponad sto
osób. Nie spotykamy się często. Sympatie i
przyjaźnie zawiązują się między nami na
czas trwania prób, spektaklu. Potem rozcho-
dzimy się. Często zmęczeni, niepewni efek-
tów, porażeni pracą bardzo szybką, wymaga-
jącą niezwyklej koncentracji, refleksu, im-
prowizacji. Rozchodzimy się w najlepszym
razie do domów, powszednich uspokajających
spraw, w gorszym razie za kulisy aż duszne
od różnych kompleksów.

Prawdziwie trwale związki i zespolenie
możliwe jest, moim zdaniem, tylko w małym
teatrze. Ze wzruszeniem wspominam swoją
pracę w Teatrze Młodego Widza w Krakowie.
To był niezwykły teatr. Kraków nas bojkot-
ował. Recenzenci nie przychodzili na pre-
miery. Pracowaliśmy w próżni znajdując
oparcie w zespole i garstce wiernych widzów.
Niezwykły był też Teatr Powszechny w War-
szawie, do którego, przynajmniej na począt-
ku, odnoszono się niezbyt sympatycznie. Ale
my w tym zespole byliśmy bardzo ze sobą
związani, zaprzyjaźnieni. Repertuar powsta-
wał we wzajemnej serdeczności i zrozumie-
niu. Tłoczyliśmy się po 11 osób w jednej gar-
derobie. Koczowaliśmy w czasie wyjazdów
we wspólnych pokojach hotelowych. Jadaliś-
my razem. Znaliśmy swoje troski i radości.
Przez siedem lat graliśmy *Wesele*. Spotyka-

liśmy się na tym spektaklu wszyscy po pięć,
sześć, a nawet i dziesięć razy w miesiącu.
Dla każdego było miejsce i rola. Ja w takim
zespole czuję się bezpieczniej. Taki teatr
przypomina mi trochę dawne budy i wędrow-
ne trupy teatralne. Jest pogodniejszy, bar-
dziej przyjazny.

*Mówi Pani o tamtych zespołach z rozrzew-
nieniem, jak o czymś utraconym.*

Tak, chyba tak... Ale bez roztkliwień. W
końcu przecież zaaklimatyzowałam się w
Teatrze Narodowym, chociaż nie bez oporów.

*Czy wspomina Pani jakieś ulubione role?
Czy są wśród nich role szczególnie Pani bli-
skie? Może jakieś postacie, osobowości, w
których odnalazła Pani nie tylko siebie jako
aktorke, ale i siebie jako człowieka?*

Tęgo nie można odnaleźć. Nasza psychika,
nasza „prywatna” osobowość nakłada się na
psychikę granej postaci. Powinny więc istnieć
podobieństwa (musi je zauważyć reży-
ser), żeby możliwy był kompromis. Ale spoza
roli zawsze widać naszą własną osobowość,
nasze słabości, prawdziwy charakter. Wie Pa-
ni, bardzo lubię rozmawiać z taksówkarzami.
Oni doskonale nas znają i dużo o nas wiedzą.
Kiedyś taksówkarz rozpoznał mnie i mówi:
„Pani to ta Kucówna?” Powiedziałam, że nie,
że ja to nie Kucówna. Nie dał się jednak
zbić z tropu. „Ja to Panią po tym głosiku
wszędzie poznam. Z pani to musi być dobry
numer, na pewno zawsze jest tak, jak Pani
chce.” Rozśmieszył mnie, bo miał rację: ja
rzeczywiście jestem okropnie apodyktyczna.

Ale wierzę w magiczne oddziaływanie sió-
demki. Co siedem lat zmieniam swoje wi-
dzenie i myślenie. I gdybyśmy spotkały się
za siedem lat, nie mówiłabym już pewnie ta-
kim jak teraz głosem nie znoszącym sprze-
ciwu.

*Dla pamięci zawiązuję tę sprawę na supe-
łek. Na siedem lat. A teraz może jeszcze kil-
ka słów o Pani ulubionych rolach.*

To chyba te, które pozostawiły mi dobre
wspomnienie, recenzje, nagrody. Panny Młodej z *Wesela*, Soni ze *Zbrodni i kary*. Właści-
wie nie mogłabym teraz powiedzieć, o jakiej
roli marzę. Wiem tylko, jakich ról nie lubię.
Nie lubię ról konwencjonalnych i postaci kob-
iet biernych, podporządkowanych. Bo to jest
sprzeczne z moim własnym charakterem. Na-
wet rolę Gertrudy w *Hamlecie* starałam się
potraktować jako rolę kobiety samodzielnej,
energicznej, żywej, aktywnej, lecz ograniczo-
nej pewnymi konwencjami i koniecznością.
Niektórzy nie odczytali jednak mojej in-
tencji mimo, tak mi się wydaje, oczywistej
i czytelnej gry. Wolałabym się jednak nie za-
stanawiać nad tym zbyt szczegółowo. Rola
do końca wyjaśniona przestaje mnie intere-
sować.

*Niech więc reszta będzie milczeniem. Mam
wobec Pani nie tylko dług wdzięczności za
rozmowę, ale jestem też, nie w porządku.
Herbata wystygła, zapomniałam o antrakcie.
Proszę się na mnie nie gniewać.*

Rozmawiała
KRYSZYNA KOSTASZUK